

MOŚCICKI

Studia w Rydze

Miałem lat 17, kiedy po raz pierwszy udało mi się zrobić spostrzeżenie, jak silnie potrafi autosugestia opanować umysł człowieka. Pod wpływem faktów, które naruszyły interesy lub ambicje człowieka, potrafi ona tak zamieć umysł, w zwyczajnych warunkach nawet bardzo logiczny, że może zadziwiać swoim brakiem obiektywizmu. Przypadkiem, który pozwolił mi już w tak młodym wieku odkryć tę prawdę był pogrzeb ojca, na który zjechała się cała tego rodzina. Po pogrzebie zauważyłem mocne dysharmonie pomiędzy poszczególnymi członkami rodziny. Zdrażnienia były tak silne, że sprawiało mi to dużą przykrość.

Chodziłem więc od drzwi do drzwi i skłaniałem krewnych do zaniechania nieporozumień i powrotu do poprzednich przyjaznych stosunków; i tu odkryłem przerażające zjawisko dawniej mi nie znane. Ludzie których uważałem dotychczas za rozsądnych i logicznych, okazali się w stawianiu swoich pretensji zupełnie nielogiczni; kłóciła ich sprawa materialna — podział majątku.

Po tym stwierdzeniu potężnego wpływu autosugestii, która tak paraliżuje zmysł logicznego myślenia, postanowiłem zabrać się do samego siebie. Wykonałem bardzo metodycznie pracę paroletnią i doszedłem wreszcie do takiej odporności, iż uważałem sobie za punkt honoru nie poddawać się wszelkim pokusom nawet w najtrudniejszych dla siebie okolicznościach. Dawało mi to wiele zadowolenia i pogody.

Filozofia życiowa, wypracowana przeze mnie w dużym trudzie, była mi pomocna w zachowaniu kierunku działalności w moim długim życiu. Byłem zabezpieczony od wszelkich, w moich oczach szkodliwych wpływów różnych środowisk, wśród których wypadło mi przebywać, a przez to samo unikałem załamania się wewnętrznego. W miarę narastania aktywności życiowej rósł szacunek wewnętrzny dla samego siebie, który stanowił też wielkie moje bogactwo. Od świata zewnętrznego nie oczekiwałem nigdy uznania moich zasług, gdyż uznanie własne było mi dostateczną nagrodą. Z tych racji nie spotykały mnie żadne cierpienia, gdy praca moja i zasługi nie były uznawane przez innych, albo też, gdy uznanie przychodziło zbyt późno. Tego bogactwa psychicznego nie oddałbym też za największe korzyści materialne.

I chociaż życie moje, pełne wydarzeń, nie było usłane kwiatami, doszedłem do przekonania, iż los obdarzył mnie dużym szczęściem.

III

Po śmierci ojca, w roku 1885, wyjechałem na studia politechniczne do Rygi. Miałem się jednak przygotować do egzaminu maturalnego, bowiem prywatne szkoły nie miały w zaborze rosyjskim żadnych praw. Miałem z tym dużo pracy, a głównie z językiem niemieckim, który stosowano przy egzaminie ze wszystkich przedmiotów.

Egzaminu do politechniki w pierwszym terminie nie zdałem. W szkołach średnich rosyjskich panował zwyczaj podpowiadania koledze. Tak jak na Zachodzie,

nie uznawano tego zwyczaju także w Rydze. Za takie właśnie przewinienie spotkała mnie zaraz na wstępie dotkliwa kara, bo nie pozwolono mi kontynuować egzaminu.

W pierwszych dniach września 1886 roku pojechałem znowu do Rygi celem przygotowania się do egzaminu maturalnego, którego termin się zbliżał. Tym razem nie miałem niepowodzenia, jakkolwiek okazało się później, że i tym razem spotkać mnie mogło nieszczęście, tylko innego rodzaju jak poprzednio. Rosyjskie ministerstwo oświaty zabroniło politechnice ryskiej egzaminować i przyjmować do uczelni młodzież ze średnich szkół prywatnych. I dopiero starania władz politechnicznych spowodowały wyjątkowe zezwolenie na odbycie po raz ostatni egzaminu, z zachowaniem terminu przewidzianego w ogłoszonym już programie. Przy tym profesor matematyki, Kiseritskij, zobowiązał się do surowszego egzaminowania kandydatów. Wynik był taki, że kilkudziesięciu egzaminowanych nie zdało. Duszę miałem wprawdzie na ramieniu, ale przecież zdołałem przebrnąć przez tę ciężką próbę i dostałem się sam jeden wówczas do politechniki.

Wstąpiłem na wydział chemiczny, chociaż byłem do tego przedmiotu zrażony w szkole średniej. Wykładał ją wtedy bardzo nieumiejętnie magister farmacji. Zdawało mi się, że to nauka wyłącznie pamięciowa, a ja miałem większe skłonności do nauk ścisłych, matematyczno-fizycznych.

Poza tym wpadła mi do ręki broszura z dziedziny technologii chemicznej i suchej destylacji drewna; ponieważ zaś lasy ojca mogły dać dostateczną ilość surowca potrzebnego do tego rodzaju produkcji, zdecydowałem się ostatecznie poświęcić się pracom na wydziale chemii.

Studia swoje w wyższym zakładzie rozpocząłem z wielką gorliwością. Wprawdzie nauka rozłożona była podług programu na 5 lat, lecz odrabianie przedmiotów było omaal że dowolne. W pierwszym roku można już było słuchać przedmiotów z dalszych lat, z wyłączeniem tych, dla których nie były jeszcze wysłuchane przedmioty podstawowe. Trzeba było więc na przykład mieć wysłuchaną uprzednio wyższą matematykę, aby uzyskać prawo słuchania mechaniki.

Wyczuwając duże braki w swoim wykształceniu ogólnym, jak historia, literatura, historia kultury, a nawet estetyka, korzystałem, w chwilach wolnych od zajęć, z bardzo bogatej biblioteki uczelni ryskiej.

Młodzież polska, stanowiąca 33 proc. studiujących na tej politechnice, grupowała się przeważnie w dwóch korporacjach: „Arkonii” i „Welecji”. Taka jedynie forma stowarzyszenia była w Rydze dozwolona.

Trzy korporacje niemieckie, jedna rosyjska i jedna łotewska, prowadzące życie przeważnie burszowskie, nie wzbudzały niepokoju u rosyjskich władz politycznych. I chociaż dla polskich stowarzyszeń forma korporacji była przymusowa, nie wpływało to na treść życia wewnętrznego, zaś przez analogię swej formy organizacyjnej do innych korporacji nie budziła u władz rosyjskich podejrzeń.

Korporacje polskie wyglądały wewnątrz zupełnie odmiennie od innych. Zastępowały one słuchaczom ich domy rodzinne i tworzyły zamknięte w sobie społeczeństwa, ze specjalnym ustrojem i statutem. Te niewielkie dwa ugrupowania, liczące po 100 członków, były mocno zwarte i miały duży wpływ wychowawczy, przeważnie dodatni. Wytwarzane tam nastroje nie pobudzały naturalnie do jakiegokolwiek nielegalnej działalności. Wszystko jednak, co się mieściło w granicach legalnego życia, stało na wysokim poziomie.

Wstąpiłem do „Welecji”, jakkolwiek mój starszy brat Władysław należał do „Arkonii”. O ile w „Arkonii” można było używać tytułów rodowych, o tyle w „Welecji” było to bardzo źle widziane. Był wprawdzie za moich czasów w „Welecji” jeden książę, ale tytułu swego nie używał.

Wkrótce po otrzymaniu barw zostałem wybrany gospodarzem korporacji. Oprócz pełnienia wysokich funkcji wewnętrznych byłem obowiązany opiekować się młodzieżą kandydacką.

Na pierwszym miejscu swej wychowawczej roli postawiłem sprawę odciągnięcia młodzieży od niewłaściwego, w moich oczach, obyczaju burszowskiego siadania wokół beczki z piwem i picia z krążącej z ręki do ręki szklanki. Takie posiedzenia trwały czasami przez szereg godzin w nocy. Odbywały się one uroczyście i polegały na ciągłym nieomal śpiewaniu pieśni korporacyjnych. Śpiewy te, gdy sobie już dobrze podchmielono, brzmiały dla ucha okropnie.

Powstały wówczas z mojej inicjatywy koła samokształcenia, które nazywały się kółkami oświaty ludowej. Był to okres czasu naszej niewoli, poświęcony przez szersze społeczeństwo możliwie legalnej pracy wśród ludu wiejskiego. Działalność wydawnicza w tym celu była wówczas bardzo duża. Za uzbierane fundusze w kółkach oświaty ludowej sprowadzano do Rygi duże ilości literatury popularnej celem rozdawania jej pomiędzy kolegów wyjeżdżających na letnie wakacje na wieś.

Na posiedzeniach kółek samokształcenia, które odbywały się zazwyczaj co tydzień, wysłuchiwało wygłaszanych referatów. Pomiedzy nimi było poruszanych wiele tematów obyczajowych. Jeden z takich tematów sam opracowałem. Przy dyskusji nad nim okazało się, że jestem zupełnie odosobniony w moich poglądach. Trzeba było dłuższych wywodów, aby przekonać moich kolegów. Zabrałem się więc do wygłaszania tego samego referatu także na innych kółkach samokształcenia. Kółek tych było siedem, grupujących przeszło 70 proc. wszystkich kolegów korporacji. Miałem wrażenie, że wszystkich słuchaczy zdobyłem dla swojego punktu widzenia.

Ryga była pewnego rodzaju stolicą dla Polaków z kresów wschodnich. Zjeżdżali do niej na zimę polskie rodziny ziemiańskie, bowiem wiele młodzieży polskiej płci obojga kształciło się tu w różnych szkołach.

Ferie wakacyjne spędzałem w domu rodzicielskim. Raz jednak postanowiłem wraz z dwoma kolegami, Geblem i Morgentalerem, spędzić parę tygodni w puszczy kurpiowskiej, która budziła w nas wielkie zainteresowanie. Idąc pieszo od wsi do wsi, pragnęliśmy zbliżyć się do ludu kurpiowskiego i nieść mu uświadomienie. Ta część kraju wzbudzała większe zaciekawienie ze względu na wyjątkowe warunki życiowe, jakie jej w historii towarzyszyły. W puszczy kurpiowskiej nie było bowiem dworów szlacheckich, nie było zatem także i zależności pańszczyźnianej.

Było to w roku 1888. Wiozący nas z Rygi pociąg opuściliśmy w Łapach. Dalszą część drogi, przez Łomżę aż do puszczy kurpiowskiej, odbywaliśmy piechotą. Po drodze mijaliśmy wsie, zamieszkałe przez szlachtę zagrodową. Mieszkańcy każdej osady nosili przeważnie jedno nazwisko.

Przestrzeń aż do dopływu Narwi przebyliśmy prędko, nie zatrzymując się po drodze, bowiem zainteresowania prowadziły nas do osiedli wiejskich po drugiej stronie rzeki.

Pierwszy dłuższy odpoczynek nastąpił tuż przed przejściem mostu we wsi Nowogródek. Spędziwszy w oberży kilka godzin ruszyliśmy w dalszą drogę. Nie uszliśmy jednak i paruset kroków, kiedy zawrócił nas niespodziewanie strażnik i odprowadził z powrotem do wsi, przed oblicze pisarza gminnego.

Pisarz ów, Polak — jak się okazało — z pochodzenia, służył zapewne lojalnie zaborcy, wykazywał bowiem wyjątkową gorliwość w indagowaniu nas celem wyświelenia powodów naszej wędrówki. Okazało się, że tematu do podejrzeń naręczały mu nasze kolorowe czapeczki korporacyjne, zatknięte w kieszeniach naszych piaseczy. Posądzono nas, że jesteśmy emisariuszami i przybyliśmy z zagranicy w celach wywrotowych. Z całego zachowania się pisarza gminnego i ze sposobu stawianych nam pytań, przebijała chęć przysłużenia się władzom przelożonym.

Między innymi zapytywał mnie o znane mi nazwiska ziemian w okolicy Skierbieszowa. Kiedy wymieniłem jednego z naszych sąsiadów, ziemianina Morawskiego, indagacje zakończył. Prawdziwość naszych zeznań nie budziła dalszych zastrzeżeń — byliśmy wolni.

Wreszcie natrafiliśmy na pierwszą wieś kurpiowską. Gospodarz, do którego wstąpiliśmy, przyjął nas bardzo gościnnie i powiadomił, że właśnie za chwilę ma się odbyć zebranie wszystkich pełnoletnich mężczyzn dla załatwienia bieżących spraw wsi. Jedynym punktem porządku obrad miała być sprawa chowu gęsi. Obrady, którym przewodniczył sołtys, toczyły się w centrum wsi, pod gołym niebem, a złożony budulec służył za miejsce siedzące.

Dyskusja była rzeczowa i spokojna. Chodziło o to, że liczne gęsi, pasące się na wspólnym pastwisku, zanieczyszczają je w tak silnym stopniu, że staje się ono zbyt słabą pożywką dla krów. Postanowiono więc z zadziwiającą zgodą zaprzestać chowu gęsi, pomimo, że uchwała ta pozbawiała najbiedniejszych dochodu, stanowiącego główną podstawę ich egzystencji.

W dalszej naszej wędrówce doznawaliśmy wszędzie, bez wyjątku, bardzo miłego i serdecznego przyjęcia. Czuliśmy się jak wśród najbliższej rodziny. Gdyśmy zachodzili do chat, gromadzili się po chwili dokoła nas ludzie, którzy z największą uwagą słuchali naszych opowiadań. Zadawano nam pytania bez końca.

W jednej z wsi napotkaliśmy przykład charakteryzujący doskonale obyczajowość ludu zamieszkującego puszcę. Oto przono nas, abyśmy w dalszej naszej wędrówce omineli jedną wioskę, w której stało się wielkie nieszczęście — dziewczyna porodziła dziecko. Uważano, że wioska ta jest niegodna nas gościć.

Kadzidło było ostatnią miejscowością w naszej pieszej wędrówce po kurpiowskiej puszczy. Tutaj spotkaliśmy młodego ziemianina z okolicy, pełniącego obowiązki sędziego gminnego. Wyglądem naszym wzbudziliśmy widocznie zaufanie, skoro sam nas zapąpił, a następnie zawiózł do majątku swoich rodziców.

W gościnnym dworze gospodarzy Zbikowskich przepędziliśmy cały wieczór na rozmowach o Kurpiach. Po przenocowaniu w tym bardzo miłym domu dano nam konie, które miały nas odwieźć do stacji kolejowej w Ostrołęce.

Nie ujechaliśmy jednak dalej poza ogród otaczający dwór, gdy zostaliśmy zaalarmowani okrzykami młodego Zbikowskiego, pędzącego na prześlij przez ogród na nami. Tuż za nim podążył z rozwianym włosiem stary ojciec jego. „Czy to czasem nie Faustyn był ojcem pana?” — zwrócił się do mnie zadyszczanym głosem. Otrzymawszy potakującą odpowiedź, rzucił mi się na szyję i z rozrzewnieniem opowiadał, jak to ojciec mój był jego naczelnikiem w powstaniu. Prosił nas na wszystko, aby zawrócić do dworu i przynajmniej jeden dzień jeszcze z nim pozostać i byłibyśmy niewątpliwie uczynili zadość temu tak z serca płynącemu zaproszeniu, gdyby nie wielka tęsknota do naszych najbliższych. Dojechalśmy więc do stacji kolejowej w Ostrołęce, skąd już każdy z nas udał się do swojej rodziny.

CDN.

1) „Arkonii” — Korporacja studencka założona 3.V.1873 r. w Rydze. Stowarzyszenie stawiało sobie za cel umacnianie zagrożonej polskości na kresach, zarówno wschodnich jak zachodnich. Nazwa odczołodziła od przyładka Arkona na wyspie Rugii, gdzie istniał wielki słowiański ośrodek kultowy. W czasach międzywojennych korporacja działała w Warszawie, podczas II wojny światowej — po niej — w Londynie.

2) „Welecja” — korporacja studencka założona 2.V.1883 r. w Rydze, na skutek rozłamu w „Arkonii”. Jej charakter i cele były podobne jak „Arkonii”. Nazwa pochodziła od słowiańskiego elementu Weleć. W okresie międzywojennym siedziba korporacji znajdowała się w Warszawie, później w Londynie.

3) Określenie to ma znaczenie pejoratywne. Niemieccy korporanci — bursze zajmowali się głównie organizowaniem posiedzeń przy piwie i pojedynków odbywanych przy użyciu lasek korporanckich.